

Tydzień na małym ekranie

**Rodzynki
i zakalec**

Nie zajmowaliśmy się „Złotą Maską”, ponieważ „Złota Maską” nie jest bynajmniej dowodem na talent lub szczególne wyniki artystyczne laureata. Jest wyłącznie efektem polityki personalnej telewizji. To przecież ogromnie proste — jeżeli aktor X w okresie poprzedzającym plebiscyt wystąpi w małym o-kienku pięć razy, zaś aktor Y tylko raz, to „Maskę” zdobędzie z pewnością X. Nawet, jeżeli ta jedna rola Y greka warta jest tyle, co wszystkich pięć Iksa.

Albowiem w telewizji moda łądzi seriami. Kiedy była modna Barbara Rylska, to w ogóle nie wychodziła ze studia. Widocznie przestęła być modna i w związku z tym zobaczyliśmy ją nareszcie dopiero w świątecznym programie „Szpaka”. Na tomasz aktualnie jest modna Irena Karel. Występuje więc w programach rozrywkowych raz jako łodzianka („Łódzki show”), raz jako rodowita warszawianka („Wieczór ze Szpakiem”). Dwa razy w trakcie dwóch dni świąt.

Poza tym modna jest gra w brydża. W brydża gra Szklana Rodzina i gra w brydża stanowi główną konstrukcję dramaturgiczną programu „Szpaka”. Gdyby jeszcze jeden cykl lub magazyn chciał korzystać z tego pomysłu, to przypomniamy, że istnieje również canasta.

Ala co będzie z doktorem Kildare? Ten żelazny, niezłomny bohater, który w kilkadziesiąt odcinkach zwycięsko odparł ataki płci pięknej, uległ nareszcie urokom kobiety — oby w tym momencie nie przestał być modny!

Zdecydowanie tracą na popularności „Kobra”, ten tak ongiś modny teatr, że w czwartki odwotymano najpoważniejsze konferencje. Wina to redaktorów cyklu — nie mają dobrych scenariuszy i nie wkładają zbyt wiele wysiłku w przygotowanie spektakli. Sztuka „Ostatnie słowo” byłaby może interesującym studium psychologicznym (matka próbuje ocalić morderczynię syna), ale w tej realizacji nie stała się ani, trzy mającym w napięciu kłyminałem, ani przyczynkiem do psychologii. Albowiem nie każda sztuka, w której zdarza się

morderstwo, da się zaraz pod-
ciągnąć pod „Kobry”. W „Hdm
lecie” też pada dużo trupów...

Czas jednak przejść do pro-
gramów świątecznych. W ses-
jach „było co obejrzeć” pod-
czas dni wolnych od pracy,
szczególnie porównując te au-
dycje z kiepskimi i nudnymi,
nadawanymi w okresie poprze-
dzającym święta. Można więc
mówić o rozsądnej polityce pro-
gramowej — tak nas w ubieg-
łych tygodniach nudzono i nu-
żono, że z radością powitaliśmy
już sam fakt nadania aż trzech
programów rozrywkowych,
dwóch lekkich spektakli teatral-
nych, dwóch premier filmów
telewizyjnych — nie mówiąc już
o transmisjach hokejowych, któ-
re świetnie wypełniły pozostały
wolny czas telewizyjny.

Zacznijmy od tego co najlep-
sze. Najlepszy był Przybóra z
Wasowskim i nie ma żadnego
powodu aby udawać, iż „Ka-
baret Starszych Panów” zakoń-
czył działalność. Przecież to te
same piosenki, te same melo-
die, ci sami aktorzy, podobny
klimat — a stare piosenki Ka-
baretu można — szczególnie w
nowych, nieco odmiennych in-
scenizacjach, oglądać w nie-
skończoność.

Tu nasuwa się pewna myśl —
istnieją u nas mianowicie aż
cztery kategorie piosenkarzy.
Wyliczmy je: piosenkarze —
aktorzy, piosenkarze zawodowi,
piosenkarze — operetkowi oraz

piosenkarze-amatorzy. Ci ostatni najczęściej występują zresztą w „Giełdzie piosenki” i pominiemy ich na razie w naszych rozważaniach. Piosenkarze zawodowi typu Santor, Villas, Konarska, reprezentują na ogół dobrą klasę europejską, jest ich jednak bardzo niewiele. Do piero bowiem po osiągnięciu znacznej popularności można wyłącznie poświęcić się piosence, do tego czasu trudno z piosenką wyżyć.

Najciekawsza grupa to z pewnością piosenkarze — aktorzy. Pracują w teatrach dramatycznych, grają niejednokrotnie duże role ze świątowego repertuaru, a „ubocznie” parają się piosenką. Nie dysponują ogromnymi możliwościami wokalnymi, ale za to reprezentują nader wysoki poziom jeśli chodzi o interpretację. To oni właśnie gwarantują najwyższe wyniki artystyczne „Kabaretu Sidszych Panów” czy cyklicznemu programowi „Z kobietą w tytule”. Im zawdzięczamy również dobry, zabawny „Wieczór ze Szpakiem” — ten fakt odnotowujemy tym chętniej, że w poprzednich programach „Szpaka” brakowało niejednokrotnie werwy i młodości, że były to jakby próby wznowienia dawnych kabaretów, trące myszką i starzyzną. W ostatnim „Szpaku” słyszeliśmy już teksty całkiem nowe, parodie, piosenki i skecze współczesne, zaś inscenizacja telewizyjna i scenografia wiele całości dodały.

A teraz grupa ostatnia, piosenkarzy z operetek. Ich oglądaliśmy w reżyserowanej przez Arleńską katowickiej rewii „Szachownica w parze”(?!). Setki pomysłów, niezwykle bogata wystawa, wielu wykonawców, balety, chóry, tricki techniczne, oszałamiające tempo — i mierzny efekt artystyczny. Mimo, że melodie czerpano z najlepszych operetek i music-hallów.

Sedno w tym, iż pomysł scenariusza był sztuczny i naciągany, oraz w tym, iż aktorzy bardzo niekiedy sprawni w operetkach Lehara i Abrahama, nie sprawdzają się absolutnie we współczesnej rewii lub współczesnym music-hallu, gdzie nie wystarczają możliwości wokalne, a trzeba dobrego aktorstwa. Katowicki program przypominał świąteczny sernik, do którego ułożono za wiele rodzynków, skutkiem czego wyplekł się zakalec.

We wrocławskiej adaptacji farsy Labiche'a od razu poznaliśmy rękę Krystyny Skużenki. Nowa produkcja groteski? Inscenizacja i aktorstwo rodem z Witkacego? Cenna inicja tywa, bardzo śmieszne i ładnie grane przedstawienie. W sumie zabawniejsze od „Wdowy po pułkowniku” mimo kreacji Ireneu Eichlerówny — tu przudały się skrót, rozmowa autora (Holoubek) z Didaskalią (Ewa Wiśniewska) tylko przedłużały akcję.

Skończyły się święta, Gaska Balbinka kupiła sobie telewizor, a Wicherek prawdziwie przepowiedział pogodę. Żeby nam nie było smutno, co — dwunastodniowe spotkanie rozpoczął profesor Tułka.

ALINA GRABOWSKA